

Więzień, uciekinier, egzekutor

Z Kazimierzem Albinem, uciekinierem z niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, rozmawia Maciej Foks

Pozwoli Pan, że zacznę od czegoś, co w piekle Auschwitz mogło się wydawać nieprawdopodobne – od sportu. Czy to prawda, że będąc więźniem, grał Pan w piłkę nożną?

Tylko w niedzielne popołudnia – mieliśmy wtedy wolne, a na terenie obozu nie było esesmanów. Na małej przestrzeni więźniowie zorganizowali wówczas coś na kształt boiska. Było wśród nas wielu piłkarzy z przedwojennej pierwszej ligi, jak Józef Korbas z Cracovii i Antoni Łyko z Wisły Kraków, a nawet kilku zawodników z reprezentacji Polski.

Zapewne chcieliście dokopać Niemcom.

Zorganizowaliśmy zespół, który miał zagrać mecz z drużyną niemieckich kapo. Było ich w obozie około setki. Zaczęliśmy treningi. Piłkarze byli wycieńczeni, pracowali w różnych komandach. Należało ich podkarmić. Zorganizowaliśmy dla nich dodatkowe jedzenie i w ciągu dwóch, trzech tygodni byli w dobrym stanie fizycznym. Załatwiliśmy im także lepszą pracę, pod dachem.

A co ze sprzętem? Graliście w drewniakach?

Nie. Zamiast piłkarskich butów zdobyliśmy zwykłe, sznurowane trzewiki... z magazynów obozowych. Dzięki temu, że Erich Gronke, szef komanda, w którym pracowałem, był niegdyś sędzią piłkarskim – piłki do futbolu i siatkówki zostały wykonane ze skóry w SS-Bekleidungswerkstätten (warsztatach odzieżowych). Zamiast spodenek nosiliśmy długie pasiaste gacie, a dla odróżnienia jedna z drużyn nie zakładała koszul.

Jaki był wynik rozgrywek?

W pierwszym meczu nasi zwyciężyli 3:1 – byli świetnymi zawodnikami. Niezależnie od tego zorganizowałem z kolegą z warsztatów drugą drużynę polską, składającą się z młodocianych, która zagrała z drugą drużyną kapów. Wygraliśmy 7:1 lub 7:0. Byliśmy świetni technicznie, graliśmy przed wojną w reprezentacjach gimnazjów.



Fot. ze zbiorów M. Foksa



Fot. M. Foks

Kazimierz Albin – ur. 30 sierpnia 1922 roku w Krakowie; w styczniu 1940 roku aresztowany na Słowacji przy próbie przedostania się do Francji. Więziony m.in. w Muszynie, Nowym Sączu i Tarnowie, przewieziony pierwszym transportem do KL Auschwitz. Otrzymał numer obozowy 118. Zbiegł z obozu w lutym 1943 roku. Został szefem dywersji bojowej III Odcinka Komendy Obwodu Kraków – Miasto Armii Krajowej. Autor książki *List Gończy* (wyd. 1989 i 1996) oraz *Postscriptum. Losy powojenne i powrót do Auschwitz* (2013). Był jednym z założycieli i prezesem Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem, jest członkiem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej oraz Rady Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Byli kibice?

Wokół gromadziło się co najmniej kilkuset więźniów, którzy obserwowali zawody i dopingowali nas. Przeciwnicy grali nie *fair*, ale Gronke odgwiżdzywał wszystkie faule. Grając w drużynie młodych, strzeliłem trzy bramki.

Jakie dyscypliny można było jeszcze „uprawiać” w obozie?

Grałem w siatkówkę, ale najwięcej zwolenników miał boks. Widziałem fantastyczną walkę Tadeusza Pietrzykowskiego, zawodowego boksera z Warszawy, z Walterem Düningiem, mistrzem Niemiec, więźniem. Cieszyliśmy się, jak Polak lał Niemca. Były nawet okrzyki: „Lej Niemca!”. Pamiętam pięć lub sześć walk. W Auschwitz był również basen dla straży pożarnej. Mógł mieć ok. 20 metrów, ale odbywały się tam zawody. Grano w piłkę wodną. Bardzo krótko, tylko jeden sezon. Sport uprawialiśmy w 1942 roku, przez 6–8 miesięcy.

Porozmawiajmy o ucieczkach. Jako więzień z pierwszego transportu pamięta Pan zapewne niesławny apel po ucieczce Tadeusza Wiejowskiego w lipcu 1940 roku.

Tego nikt nie zapomni. Staliśmy na baczność w szeregach na placu apelowym, kiedy stwierdzono, że brakuje jednego więź-

Fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu

Fot. M. Foks



► Kazimierz Albin i Kazimierz Piechowski – uciekinierzy z KL Auschwitz

Chcieliśmy uciekać na południowy wschód. Rozebraliśmy się i trochę płynąc, trochę przechodząc, znaleźliśmy się na środku rzeki. Dopiero w zimnej wodzie uświadomiłem sobie tragizm naszej sytuacji. Poprzedni etap ucieczki był jakby we śnie. Odezwiała się syrena obozowa, najpierw niskie brzmienie, potem wysokie zawołanie. Usłyszałem alarm w koszarach. Ruszyły jednostki pościgowe. Słysząc było szczekanie psów. Ścigający musieli jednak jechać około trzech kilometrów do mostu na Starówkę. Te minuty dały nam szansę przeprawy. Po wyjściu z wody na mokre ciało z trudem założyliśmy ubranie. Przeskoczyliśmy szosę prowadzącą z Oświęcimia na Brzeszcze. Pomyślałem, że trzeba przebiec przez podmokły teren, by psy straciły trop. Zobaczyliśmy światła samochodów. Podbiegliś-

my kawałek i zalegliśmy w gęstych krzakach. Samochody zatrzymały się. Straszliwy hałas. Komendy. Szczekanie psów. Kilkuset esesmanów rzuciło się w kierunku Soły, na ogromny teren, który opuściliśmy. Na naszej wysokości był punkt dowodzenia. Grupa podoficerów SS wystrzeliwała rakiety świetlne – mrówkę można było zobaczyć. Kiedy spadła rakietka, czołgaliśmy się pod osłoną krzewów. Później szliśmy na przełaj. Wokół wysiedlono Polaków i sprowadzono niemieckich baue-
rów. Wyjąca syrena obozowa była sygnałem również dla nich.

Polowali na więźniów?

Wychodzili z bronią na patroli i wylapywali ok. 80 proc. uciekinierów, którzy chcieli przejść przez wieś. Wsie trzeba było obchodzić. Kierowaliśmy się w stronę rzeki Skawy, granicy Rzeszy z Generalnym Gubernatorstwem. Nad ranem na skraju pewnej wsi znaleźliśmy samotną stodołę. Zjedliśmy chleb i kielbasę i przespaliśmy się trochę. Z braku wody jedliśmy śnieg.

Do przejścia granicy potrzebowaliście przewodników...

Zorganizował ich Franek, miał ze sobą marki i dolary zabrane z obozu. Pokazali nam przejście, mieli rozpracowany rozkład patroli. Noc była mroźna, ale nie było czasu, by się rozbierać. Kiedy po drugiej stronie rzeki wdrapywałem się na wysoki brzeg, miałem wrażenie, że w każdej chwili może paść strzał. Wszystko na mnie zamrzło, w butach chlupała woda. W końcu dotarliśmy do rodziny Franka, a po kilku dniach udało mi się przedostać do Krakowa.

Miał Pan pomysł, jak się ukryć?

Rodzina nie wchodziła w grę, ale przypomniałem sobie Wic-
ka Jarosińskiego, prokuratora aresztowanego w czasie łapan-
ki w Krakowie w 1941 roku. Wspólnie z innymi kolegami
chroniliśmy go w obozie. Gdyby kapo dowie-
dzieli się, że jest prokuratorem, z miejsca by
go załatwili. Ratowałem go zdobytą żywno-
ścią. Zaprzyjaźniliśmy się. Opowiadał mi o ro-
dzinie. Matka prowadziła restaurację w centrum
Krakowa, w pobliżu kościoła Mariackiego, gdzie
przychodzili Niemcy. Dzięki łapówce udało jej się
wyciągnąć syna z Auschwitz. Wicek powiedział
kiedyś, że jest moim dłużnikiem i jeżeli będę po-
trzebował pomocy, mogę na niego liczyć. Odszu-
kałem restaurację, sprawdziłem, gdzie znajdują się
boczne wyjścia. Po wejściu do środka podszedłem
do starszej pani przy kontuarze, jak zakładałem – jego
matki. Poprosiła, bym zaczekał, bo Wicek ma coś do
załatwienia na mieście. Usiadłem przy stoliku, blisko
bocznego wyjścia. Kapelusza nie zdjąłem, gdyż miałem
ogoloną głowę. Po raz pierwszy w życiu byłem w restau-
racji, zamówiłem piwo i kanapkę. Na sali słysząc było
niemieckich klientów. Po pewnym czasie pojawił się Wi-
cek, spojrzał na mnie wytrzeszczonymi oczyma. „Kazik,

► List gończy za zbiegami z KL Auschwitz



Fot. ze zbiorów Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu

ciebie też zwolnili?” – powiedział zdumiony. „Nie, wypieprzyłem z obozu i potrzebuję pomocy” – odpowiedziałem. Wicek zbladł. „Chwileczkę, poczekaj, zaraz coś załatwimy” – powiedział. Przeprowadził Tadeusza Tabora, który wziął mnie na kilka dni do siebie. Zamieszkałem przy Siemiradzkiego 2, w trzypiętrowej kamienicy, w dzielnicy w połowie zamieszkanej przez Niemców. Mój gospodarz mieszkał na parterze, na górze zaś niemieccy kolejarze. W tym domu spędziłem dwa lata. Zostałem tam zaprzysiężony.

Dostać się do AK nie było tak łatwo...

Sprawdzał nas kontrwywiad, gdyż w Krakowie była masa agentów gestapo. Na przydział do AK czekaliśmy parę tygodni. W tym czasie zrobiliśmy nielegalnie z Frankiem dwa wieczorne skoki na samotnie idących żołnierzy niemieckich dla zdobycia broni.

Zaprzysięgał mnie porucznik Mieczysław Tabor, pseudonim „Kura”, brat Tadeusza, oficer zawodowy zbiegły z niewoli. Wiedział, że uciekłem z obozu. Znał też moje pierwsze dwa wypadki, dlatego przydzielił nas do dywersji. Przyjąłem pseudonim „Jędrak”. Skierowano mnie do podchorążówki, co było dla mnie zaszczytem. Program był przedwojenny – służba wewnętrzna, terenoznawstwo – poszerzony o naukę o broni niemieckiej. Korzystaliśmy z podręczników Wehrmachtu, przetłumaczonych na polski. Szkolenie trwało kilka miesięcy. Kurs skończyłem w listopadzie 1943 roku w stopniu plutonowego podchorążego. W 1944 roku zostałem awansowany do stopnia podporucznika.

Jakie były Pańskie zadania?

Jedną z moich pierwszych akcji dywersyjnych było wykonanie wyroku na granatowym policjancie. Mieszkał w piętrowym domku na Podgórzu. Weszliśmy z Frankiem na pierwsze piętro po skrzypiących schodach. Kolega został w korytarzu. Miał mnie ubezpieczać. Zadzwoiłem do mieszkania. Drzwi otworzyła starsza pani. Dowiedziałem się, że policjanta nie ma, przyjdzie za chwilę, na obiad. Gospodyni wprowadziła mnie do pokoju, posadziła przy okrągłym stole. Kiedy wyszła, zacząłem się rozglądać. Zainteresowały mnie zdjęcia. Okazało się, że na jednej z fotografii był mój kolega z gimnazjum. Zmarł na gruźlicę. Pamiętałem, że był synem policjanta. Gospodyni zauważyła moje zainteresowanie. „To jest mój syn, który zmarł przed wojną, podczas wojny zginął również mój mąż



Fot. ze zbiorów K. Albina

► Kazimierz Albina po jednej z akcji dywersyjnych w Krakowie

i został mi tylko jeden, najmłodszy syn” – powiedziała. Byłem załamany. Przypomniałem sobie swoją matkę i uświadomiłem sobie, że za chwilę będę musiał wykonać wyrok na policjancie w obecności jego matki. Usłyszałem dzwonek. Policjant wszedł do pokoju. Zamknął drzwi. Zostaliśmy sami. Nie miał przy sobie broni, musiał ją zdać na posterunku. Rozkazałem, żeby zamknął okna. Potem kazałem usiąść. „Wyrokiem sądu specjalnego zostałeś skazany na śmierć za współpracę z okupantem” – powiedziałem. Rozpłakał się. Opowiedział mi wszystko o sobie. Po wkroczeniu Niemców koledzy ojca, policjanci, namawiali go, by wstąpił do policji, co może uratować go przed wywózką na roboty do Niemiec. Mówił, że to pomyłka, że jest żołnierzem AK i blisko współpracuje z organizacją. „Wyrok zostaje zawieszony. Masz zostać na miejscu. I tak dosięgnie cię sprawiedliwość” –

odpowiedziałem i wyszedłem. Franek czekał na schodach zaniepokojony, że nie słyszy strzału. O sytuacji zameldowałem w dowództwie. Najpierw dostałem ochrzan, że naraziłem organizację na niebezpieczeństwo. Jednak dowódca kazał zbadać sprawę. Zgadzało się wszystko to, o czym mówił policjant. Na najbliższym spotkaniu powiedziano mi, że wprawdzie wbrew rozkazowi nie wykonałem wyroku, ale dostałem pochwałę. Policjant natychmiast wyjechał na Podhale do oddziału partyzanckiego. W 1945 roku spotkałem go na ulicy, jak wracał ►

► Przepustka Kazimierza Albina na nazwisko Franciszka Makowskiego



Fot. ze zbiorów K. Albina



► Legitimacja na nazwisko Franciszek Makowski oraz dokument potwierdzający prawdziwe nazwisko Kazimierza Albina

z partyzantki po wkroczeniu Sowietów, z bronią i granatem za pasem. Uściskaliśmy się. Dziękował mi.

Za to wykonał Pan wyrok na funkcjonariuszu gestapo.

Mój zastępca Stefan Bernaczyk pracował w Luftschutzhilfsdienst (Pomocniczej Służbie Przeciwlotniczej), dlatego wyrok postanowiliśmy wykonać w mundurach tej formacji. Miałem płaszcz, czapkę i buty z cholewami. Ponieważ amunicja mogła zawieść, umówiliśmy się, że będziemy strzelać jednocześnie. Był jesienny poranek, ludzie zmierzali do pracy. Kroczyliśmy ulicą, jak na patrolu. Gestapowca wskazał nam z daleka młody człowiek na rowerze. Szedł w cywilnym ubraniu, z teczką. Wyciągnęliśmy pistolety i z odległości trzech metrów oddaliśmy po jednym strzale w korpus. Gestapowiec widział, jak wyciągamy broń, ale sam nie zdążył. Zapamiętałem jego paniczny wyraz twarzy, jak padał. Kiedy leżał na ziemi, strzeliłem mu w głowę. Ludzie zaczęli uciekać. Dotarliśmy na miejsce, gdzie uprzednio ukryliśmy rowery. Wyjechaliśmy z dzielnicy niemieckiej.

► Kordzik zdobyty podczas rozbijania funkcjonariusza NSDAP



Na stole zauważyłem kordzik z zeszlifowaną niemiecką wroną. Czy to zdobycz wojenna?

Tak. Rozbroiliśmy funkcjonariusza NSDAP w mundurze galowym. Miał pistolet Walter 7,65 mm i ten piękny kordzik z orłem niemieckim. W 1945 i 1946 roku obchodziliśmy święto 3 Maja. Była defilada. Kolega z obozu, pilot Jurek Radwanek, poprosił, bym mu tę zdobycz pożyczył. Zeszlifował wronę i z takim kordem wystąpił na uroczystościach.

W Warszawie AK przeprowadziła słynną akcję „Góral”, podczas której uprowadzono samochód bankowy. Tymczasem Pan brał udział w akcji na drukarni Banku Emisyjnego w Krakowie, gdzie produkowano okupacyjne banknoty.

Rozpoznanie zrobił jeden z kolegów z konspiracji, który był tam zatrudniony. Pracownikami byli Polacy i Niemcy. Po godzinach budynku pilnowało dwóch żandarmów, zmieniających się co kilka godzin. Z rozpoznania wiedzieliśmy, że żandarmi, którzy powinni czekać do godziny 8.00, o 7.30 opuszczali budynek. Mieliliśmy zatem 15–20 minut na przeprowadzenie akcji. Było nas pięciu, ale masę ludzi ją ubezpieczało. Po wyjściu żandarmów natychmiast weszliśmy do środka. Zająłem się przerwaniem łączności telefonicznej. Związaliśmy polskiego pracownika, prawdopodobnie stróża, nie stawiał żadnego oporu. Zaczęliśmy ładować pieniądze. Miały to być duże nominały, ale okazało się, że w tym dniu wydrukowano banknoty dwudziestozłotowe. Wyszliśmy z łupem 2,5 mln złotych dosłownie pięć minut przed wejściem pierwszych pracowników.

Interesujących wydarzeń z Pana udziałem było więcej – nie da się ich niestety zmieścić w tak krótkiej rozmowie. Wróćmy na koniec do obozu. Kiedy po raz pierwszy po wojnie odwiedził Pan jego teren?

Po ośmiu albo dziesięciu latach po wojnie. Jako oficer krakowskiego Kedywu miałem problemy z UB. Wówczas lepiej było unikać kontaktów z okresu wojny. Teren byłego obozu odwiedziłem z okazji rocznicy pierwszego transportu. Ponieważ nie było hoteli, mieliśmy nocować na jednym z bloków. Spaliśmy na trzypiętrowych łózkach. Różnica była taka, że mieliśmy czystą pościel, a w pobliżu była łazienka. Spałem na górnym łóżku. W północy zobaczyłem oświetlone druty, które kiedyś były pod wysokim napięciem. Zbudziłem się zlany potem – byłem przekonany, że znów jestem w Auschwitz. ■